

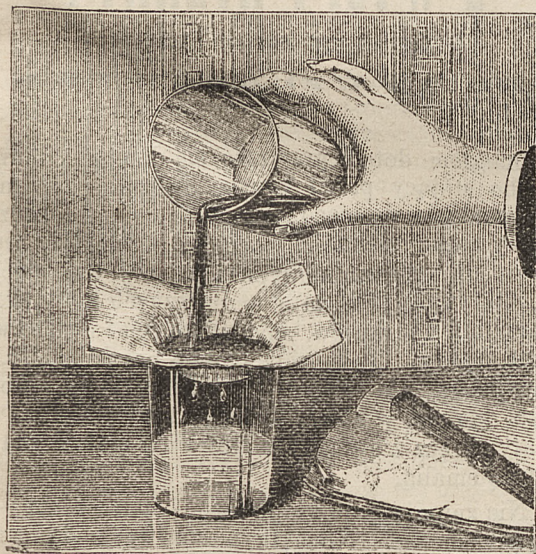


TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.



DOŚWIADCZENIE CHEMICZNE.

Urządzenie za pomocą łatwych środków filtru tak często potrzebnego do usunięcia osadu, jaki się wytwarza w płynach, niejednokrotnie przydać się może, podajemy więc najprostszy do tego sposób. Na kubeczek większych rozmiarów, jaki widzimy na rycinie, kładzie się grubą bibułę, złożoną we dwoje, wciska ją się mocno w głąb kubeczka, tak, aby po bokach pozostały dość duże brzegi i następnie nalewa potrochu płyn, który mamy zamiar przefiltrować. Płyn będzie ściekał do kubeczka czystymi kroplami, zupełnie wolnymi od

osadu, który bibuła zatrzyma. Na próbę filtrowania takiego wziąć możemy rozpuszczony chlorek potasu, który przedstawia płyn przezroczysty, jasno-żółtego koloru. Jeżeli dolejemy do niego drobną ilość octanu ołowiu również rozpuszczonego, wtedy natychmiast prawie otrzymamy w płynie osad ciemno-żółty, gęsty, ziarnisty chlorku ołowiu nierozpuszczonego. Filtr nasz wystarczy by takowy oddzielić z płynu całkowicie.

Sprawozdanie z konkursu robót.

Dzieweczki drogie, prawdziwie i wam i sobie powinszować możemy téj gotowości, z jaką zawsze zadość czynicie wezwaniom konkursowym. Leży oto przed nami stos paczek różnej wielkości i różnego kształtu: kaftaniczki, koszulki, sukienki, fartuszki, wszystko dzieło pracowitych rączek, którym poczciwe serca dodały wytrwałości, wszystko przeznaczone dla ubogiej dziatwy, której matki błogosławić was będą.

Rodzicielską opieką troskliwą strzeżone od cierpień, jakie pociąga za sobą niedostatek, często ani wiecie, ani wyobrazić sobie zdołacie czém jest nędza, ta miejska, ta z sutereny i poddasza, która w nieopalonej izbie zamyka bosc i nieokryte dzieci, ta, która do szkoły, lub na zarobek chodzić nie pozwala dla braku odzieży stosownej, ta, która serce matek rozdziera bólem bezmiernym, a w sercach ojców budzi tak często zawiść przeciwko możniejszemu, szczęśliwsiemu, łaskawiej przez los traktowanemu. Natę zawiść, która razem nieszczęściem

jest i grzechem, niema skuteczniejszego lekarstwa nad miłosierdzie chrześcijańskie. Starsze z pomiędzy was, pracownice kochane, rozumieją już całą doniosłość tej prawdy, młodsze zrozumieją ją z czasem; dziś zaś wszystkim, które czynem dały dowód, że obowiązek miłosierdzia wykonywać umieją, dziękujemy serdeczném: *Bóg zapłać!* Mowa nasza, o której słuszenie powiada poeta: „*Z Boga w niej idzie takie rzeczy mnóstwo... Istnym różańcem ku niebu się niże*” gotowym już zwrotem modlitewnym błogosławi tych, którym się coś więcej nad zwyczajne podziękowanie należy. Raz więc jeszcze powtarzamy: „*Bóg zapłać*”.

Ale tymczasem i my się poczuwamy do obowiązku odpłacenia drogim i dobrym dziewczętom za przyjemność, jaką nam pracowitością swoją sprawiły. Nagroda zawsze się należy zasłudze, a zasługą, bez względu nawet na przeznaczenie roboty, jest sama robota, starannie i porządnie wykonana. Za taką więc otrzymują nagrody z odznaczeniem:

Blondynka podlaska, Cicha Fala, Goryczka, Gałązka Osiny, Horpyna, Jutrzenka, Królowa Wrózek, Kukutka z pod Lublina, Marszałkowa, Mgła, Mięta z nad Poru, Polka z nad Szczary, Pociuszka rodziców, Pieszczocha, Pszeniczka, Różyczka chińska, Sosenka, Światelko, Zorza północna.

Nagrody 1-go stopnia:

Andzia B., Czarnotka, Eugenia H., Gospoia taty, Gospoia z pod Lublina, Gospoia z Podola, Halka z Litwy, Jadzia B., Jaskółka z nad Hańczy, Julcia H., Iskierka pod Lublina, Kukuleczka z Wołynia, Lobelia, Malinka z Goworowa, Mała Laszka, Niezapominajka z nad Jabłoni, Oleńka ze Żmudzi, Przyłaszczka, Rumiane Jabłuszko, Rajskie Jabłuszko, Sikorka, Sarenka lubelska, Złota Rybka, Zręczna Gospoia.

Nagrody 2-go stopnia:

Biała Firletka, Jaskółka z nad Ussy, Myszka domowa, Macierzanka, Niezabudka z nad Chomoru, Prawda, Radomianka, Śpiewna Lira, Tęcza z nad Jatrani, Terenia, Utanka, Zorza.

Upraszamy nagrodzone panienki, zarówno miejskie jak i wiejskie o zgłaszanie się po odbiór nagród do redakcyi, o ile to dla ostatnich jest możebnem przy okazjach do Warszawy.

KARŁY AFRYKAŃSKIE.

Mówiliśmy już że głośny podróżnik angielski Stanley, dotarł w Afryce do plemion murzyńskich niezwykle drobnego wzrostu: najwyższy z tych człowieczków osiąga 138 cent. a minimum wzrostu wynosi centymetrów 92.

Inteligencyą karzelki te równają się z innymi plemionami murzynów zwykłego ludziom wzrostu, a co do chytróści, przeważają ich o wiele.

Stanley dzieli karle plemiona na dwa typy, które przedstawia nam załączona rycina. Widzimy na niej w głębi czterech ludzi, dwóch murzynów i dwóch europejskich podróżników, a na przodzie czterech karzelków; karzelki o okrągłej twarzy dużych szczerych oczach, należą do plemienia Uambutti, skóra ich ma barwę żółtawą. Obok nich stoją przedstawiciele plemienia Batua. Kształt głowy podłużny, twarz wązka, wydłużone, małe czerwone oczka, blisko siebie głęboko ob-

sadzone nadają im wyraz skryty i nieufny. Skórę mają ciemniejszą od pokrewnych im Uambutti.

Te dwa główne plemiona afrykańskich pigmejów żyją z sobą w dobrej zgodzie. Przebywają w wielkich lasach i żywią się upolowaną zwierzyną. Za pomocą strzał zatrutych zabijają też i nieprzyjaznych im ludzi. Kopią głębokie rowy i przykrywają gałęziami i trawą a w te pułapki wpadają słonie, bawoły, antylopy, i stają się łatwą zdobyczą pigmejów. Rozpościerają też między lianami siatki, w które chwytają drobniejsze zwierzęta, łasiczki, ichneumony, szczury, wreszcie łowią małpy za pomocą bardzo dowcipnego sposobu. Pod rozłożystem drzewem rozsypują banany, orzechy, a nad temi ponętnymi dla małp przysmakami, zawieszają u gałęzi drzewa rodzaj dachu silnie splecionego z lian i gałęzi, gdy pigmetyczek usadowiony na dachu widzi, że zwabiony jedzeniem młody babuin lub szympanz zasiada do uczty, szybko odczepia dach od gałęzi i spuszcza na swoją ofiarę, którą następnie zabija, by futro jej zamienić z innymi murzyńskimi plemionami na różne przedmioty służące do ubrania lub stroju, a także na noże, włócznie lub tytuń wreszcie. Karły są bardzo niebezpiecznymi wrogami; zwinność, lekkość, niski wzrost wreszcie, pozwala im wcisnąć się lub ukryć w miejscach zbyt szczupłych a więc niedostępnych dla ludzi zwykłego wzrostu. Przytem strzelają bardzo celnie z łuku. Żyją w chatkach splecionych z gałęzi, które ścinają za pomocą siekier, mężczyźni trudnią się polowaniem a kobiety przyrządzają mięso i skóry. Uambutti i Batua wiodą życie koczujące, skoro w jednej części lasu wytrzebią zwierzynę przenoszą się dalej, zabierając z sobą cały swój dobytek łuki, strzały, i skóry. Celują przytem w wyrabianiu trucizn, któremi strzały pokrywają.

A. M.

Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

Zofia Urbanowska.

Nie mogłem dotąd przyjrzeć się dobrze królewiczów Jagódce, bo stojący przed tronem Indyanie zupełnie mi ją zasłonili; teraz gdy się nieco usunęli na stronę, zobaczyłem że była nadzwyczajnej piękności, pociągającej nie tyle regularnością rysów ile wyrazem niewypowiedzianej, anielskiej niemal dobroci. Okrywała ją szata z przepysznych koronek, a szyję zdobił naszyjnik z turkusów, między któremi w przerwach były ogromne szafiry. Takie same miała naramienniki, bransolety i przepaskę, ale prawdziwem arcydziełem jubilerskiej pracy, była korona, w której turkusy i szafiry dwoma rzędami obejmowały obręcz z gwiazd; matowa ich białość zdawała się być wyborańską emalią.

— Nie znam się na klejnotach — odrzekłem — ale widzę że są prześliczne. Niemały pewnie kryje się w nich majątek. Musi to być dar królewicza Kryształka.

— Jestto — odrzekł śmiejąc się Astragalus — tylko zręczna kombinacya niezapominajek które królewiczowa szczególnie polubiła od jakiegoś czasu, goryczek górskich bezłodygowych i szarotek, tego pięknego, wdzięcznego kwiatu, na wysokich tylko rosnącego szczytach. Królewiczowa ma dostatek cennych klejnotów od brata Kryształka, ale ubiera się w nie tylko wtedy, gdy chce mu zrobić przyjemność. Mają one dla niej tę wielką wadę, że nie pachną, a ona przepada za wonnościami, więc chętniej nosi kwiaty niż dyamenty.

— Ależ te kwiaty mają nawet blask prawdziwych klejnotów!

— A, to dla tego że tu jest powietrze przesycone wilgocią, bo paprocie i w ogóle skrytokwiatowe, tylko w wilgotnej atmosferze żyć mogą. Wilgoć osiada drobnymi kropelkami rosy na tych klejnotach, a słońce przedzierające się przez

sklepienie, odbija się w nich wszystkimi barwami tęczy i nadaje im blask prawdziwych dyamentów.

Zauważyłem że cały dwór postrojony był w klejnoty z kwiatów, a damy dworu w koronki podobne tym, jakie miała królewiczowa, choć nie tak wytworne.

— Przemysł koronkarski kwitnie widocznie na Atlantycie — zauważałem — bo widzę tu wielką obfitość koronek, choć wyglądają jakoś zupełnie inaczej, niż te jakie widziałem u nas w górach tatrzańskich, w Zakopanem.

— Bo też to jest koronka roślinna.

— Nie może być!

— Tak jest, roślinna. Pochodzi z drzewka zwanego *Daphne Lagetto*, należącego do rodziny *Daphnoideae*. Wyrasta na cztery do pięciu metrów wysoko, rozpowszechnione w Ameryce południowej, na Antyllach, Jamajce, San Domingo i wielu innych jeszcze miejscowościach. Dostarcza ono drzewa koronkowego, a raczej kory koronkowej. Kora bowiem zewnętrzna tego drzewa jest białawą, a warstwy pod nią znajdujące się, zupełnie białe, dają się z łatwością oddzielać, tworząc jedną siatkę, podobną na pierwszy rzut oka do tkaniny tiulowej lub koronkowej. Na Antyllach wyrabiają z niej wstążki i lekkie ozdoby toaletowe, a na dworze naszym używają jej na suknie, firanki i kotary.

— Koronki to jednak wielce niepraktyczne: co z niemi zrobić gdy się pobrudzą?

— Piorą się.

— Co? to się pierze?

— Doskonale.

— Czyż jednak królewicz Zielonko potrzebuje ubierać się w materiały wyłącznie roślinne, skoro między braćmi niema już niezgody?

— Sza! — szepnął oglądając się niespokojnie — nie wymawiaj pan głośno tego słowa. Nie wolno tu wspominać o epoce smutnej pamięci, rzucającej cień na życie rodzinne i panowanie trzech monarchów.

— A więc wyrażę się inaczej: od czasu gdy między trzema braćmi panuje przykładowa zgoda i miłość.

— Tak to co innego. Na dworze naszym używa się o ile potrzeba wszelkich produktów zwierzęcych i mineralnych, ale do przyjęć uroczystych służy przeważnie roślinność; pochlebia to Zielonce, gdy ma sposobność okazania światu, że rośliny wszystko zastąpić mogą.

— Z jakiego to materiału następczyni tronu ma sukienkę, czy także pochodzenia roślinnego?

— Tak jest, z rośliny *Pitta* rosnącej dziko w Meksyku. Należy ona do rodziny kaktusów i posiada włókna przydatne do wyrobu materii. Włókna te mocne, jedwabiste, bywają od czterech do pięciu metrów długie. W Anglii zaczęto je najprzód przerabiać i zdaje się że będą mogły współzawodniczyć z innemi, bo są piękne i bardzo trwałe. Królowa angielska Wiktorya, przysłała właśnie tę sukienkę w darze dla księżniczki Gori. Posel angielski wczoraj dopiero odjechał.

— Jaki to dar niósł orszak posła indyjskiego? Zdaje mi się że to był krzew czy drzewo.

— Drzewo płaczące.

— Sądziłem że królewiczowi posiadającemu wszystkie niemal rośliny świata, same tylko osobliwości mogą być ofiarowywane, a drzewa płaczące przecież nie są żadną osobliwością. Na każdym niemal kroku spotkać je można. Płaczą długimi gałęziami wierzby, jesiony, brzozy i wiele innych.

— Tak, ale drzewa które pan wspomniałeś, mają tę nazwę jedynie w znaczeniu przenośnym. Wierzba płacze, powiadają, a czy widział kto żeby choć jedną łzę uroniła?

Spojrzałem na mówiącego ze zdumieniem.

— Nie powiesz pan przecież że jakiegokolwiek drzewo może płakać naprawdę — odezwał się. — Wiem że rośliny są istotami żyjącymi, że są wrażliwe, jak tego dowodem jest mimozę; że mają jakiś nieświadomy instykt, bo wiedzą gdzie szukać pożywienia, choć nikt ich tego nie uczył. Ale żeby

miały uczucia rozwinięte, żeby jak człowiek lub zwierzę, zdolne były przejąć się żalem lub boleścią, tego pan we mnie wmówić nie zdołasz. Nie posiadają przecież odpowiednich organów łzawych.

— Czy żal lub boleść odczuwać mogą, tego nie wiem — odrzekł uśmiechając się *Astragalus* — ale to pewna, że mają czem płakać, skoro płaczą. Drzewo które posel indyjski przyniósł dla królewicza, jest gatunkiem *Dereunia* czyli *Świdwy*, *Cornus*. Rozmawiałem o niem z posłem: opowiadał mi że w Indyach dostrzeżono pod niem kałużę, której pochodzenia nie umiano sobie wytłomaczyć, dopóki nie zauważono że ze złamanej gałęzi tego drzewa, spływały do kałuży obfite krople. Osobliwy ten deszcz padał od dziesięciu dni przeszło, nie zrzadzając żadnej szkody drzewu, które w tym czasie rozwijało swe pąki, choć zdaniem mojem, jest to niemożliwe; bo jak dla człowieka utrata krwi, tak dla drzewa utrata odżywczego soku, bez szkody nie przechodzi. Płaczą wprawdzie krzewy winne, gdy je ogrodnik przycina na wiosnę, płaczą brzozy, klony, osiczyny w podobnych okolicznościach, ale żadne drzewo nie płacze tak obficie, tak rzęsiście jak dereń indyjski. Dlatego też królewicz w którego państwie nikt naprawdę nie płakał, zapragnął drzewa płaczącego prawdziwymi łzami.

— Szczęśliwe państwo. w którym nikt nie płacze — wtrąciłem — ale jeśli tak jest, to chyba nikt tu nie cierpi i nikt nie umiera. Ach, czemuż moja mateczka nie mogła przyjechać na Atlantę, żyłaby może dotąd!

— Takie królestwo nie istnieje wcale na ziemi — zabrzmiał tuż za mną głos jakiś poważny i uroczysty. — Ludzie cierpią tu i umierają jak wszędzie, bo wszędzie gdzie żyje człowiek, żyje także cierpienie i śmierć.

Odwrociłem się szybko: przedemną stał starzec we wschodnich szatach, z długą białą brodą spadającą na piersi. Był to *Abrakadabrus*, nie myliłem się. Nikt inny nie może mieć oczu patrzących w duszę tak głęboko, że minowolnym przenikają dreszczem, a mimo to rozbudzają ufność nieograniczoną; nikt inny nie może mieć postawy tak wspaniałej, ani twarzy tak szlachetnej, z której bije blask rozumu i pogody wyższej nad wszystkie ziemskie burze. Wczoraj widziałem go z wysokości masztu w blasku zachodzącego słońca, dziś patrzyłem na niego w świetle słońca południowego, w którym biała jego broda i włosy wysuwające się z pod wysokiego szpiczastego nakrycia głowy, połyskiwały jak srebro.

— Nie byłoby nawet rzecz pożądaną, aby łzy nigdy nie płynęły — mówił dalej — bo one bywają nieraz jako rosa ożywcza, zwilżająca spiekłą od skwaru ziemię. Człowiek nie znający smutku, nie znałby także radości. Ludzie zawsze niezmiennie szczęśliwi, staliby się powoli nieczułymi głazami, a szczęście ich przestałoby dla nich mieć wartość, bo oni przestaliby je odczuwać. Jedno ocenia się przy drugim. W cierpieniu serca oczyszczają się, hartują i nabierają trwałości. Bóg dobry stworzył je na pożytek ludzi, tak samo jak szczęście i powinniśmy Mu być wdzięczni za oboje.

Spojrzałem na niego z przestrachem: jakiś bowiem pożytek może być dla mnie z tego żem stracił matkę! Ale widać on wyczytał tę myśl w moich oczach, bo położył mi rękę na głowie i rzekł:

— Chłopcze, twoja matka nie umarła dla ciebie, bo wspomnienie jej żyje w twojem sercu i chodzi za tobą jak anioł stróż strzegący cię od wejścia na manowce. I nie zostawiła cię zupełnym sierotą: jest druga matka która żyje, która cię potrzebuje. Szczęśliwy jesteś że jej służyć możesz: są tacy co i tej pociechy nie mają...

Tu wzrok jego przeniknął rzędy kolumn i utonął w dalekim krajobrazie. Widziałem jak przesuwał się po nim i zatrzymał na otaczających lasy moczarach, a twarz przybrała wyraz głębokiej zadumy i szepnął z cicha:

„... ty jesteś jak zdrowie;
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię utracił...”

Ogarnęło mnie takie samo wzruszenie, jak przy posągu Bożydara. Niewiem, czy dla tego że mówił o méj matce, czy że on pierwszy przemówił tu do mnie moim rodzinnym językiem, czy że czytał w méj duszy jak w otwartej księdze, dość że nie mogłem wymówić ani słowa, a gdy chciałem odpowiedzieć, mistrza już nie było. Znikł za zasłoną zieloności, która wkrótce znów rosnęła się i ukazał się marszałek dworu, wzywając mnie bym przystąpił przed oblicze królewiczowstwa.

— Poselstwo indyjskie przecież nie odeszło jeszcze — zauważyłem — pragnąc teraz gdy oczekiwana przezemnie chwila nadeszła, oddalić ją choć trochę.

Nie myśl, że mam się znaleźć w obec tronu, onieśmiałała mnie, ale poczucie ważności obowiązku jaki godność posła na mnie wkładała i obawa czy potrafię jak należy reprezentować Pismo, które wysyłając mnie tu, położyło we mnie zaufanie.

— Indyjanie zaproszeni zostali przez królewicza, aby asystowali następnej audyencji — odrzekł.

Dotknąłem machinalnie ręką kieszeni dla upewnienia się czy mam przy sobie list wiarytelny, choć nie było wątpliwości że go tam włożyłem i myśląc nie bez żalu że inaczej tam idę niż poseł indyjski, bo bez orszaku i bez darów, przekroczyłem próg. Przy wejściu straż salutowała mnie, a raczej nie mnie ale Wieczory w méj osobie, a hrabia Lilium Martagon uroczyście wygłosił:

— Jego ekscelencya, poseł nadzwyczajny Wieczorów rodzinnych!

Zaczerwieniłem się mocno posłyszawszy ten tytuł na tem miejscu, tytuł tak nie licujący z moim wiekiem i moim wzrostem, wreszcie z mojem skromnym ubraniem. Zabrzmiął mi w uszach jak ironia, i wydało mi się że widzę uśmiechy na twarzach panów i dam dworskich. Indyjanie mierzyli mnie od stóp do głów zdziwionemi oczyma.

Postąpiłem ku tronowi czekając aż monarcha pierwszy przemówi do mnie, bo choć na dworach monarszych nie bywałem, i nie miałem wyobrażenia o prawidłach etykiety, wiedziałem że królowie zawsze pierwsi przemawiają. Jakoż z wysokości tronu zabrzmiał głos łaskawy.

— Witaj młodzieńczy pośle! Spodziewamy się że przybywasz w dobrym zdrowiu, pomimo burzy jaka cię zaskoczyła na pokładzie Narcyza?

— Tak jest — odpowiedziałem, drżącym trochę głosem — przynoszę Waszój Królewiczowskiój Mości pozdrowienie od Redakcyi Wieczorów rodzinnych i od wszystkich czytelników tego Pisma.

— Dziękuję. Pozdrów ich nawzajem od nas gdy pisać będziesz. Jakże ci się podoba na wyspie Atlancie?

— Jestem zachwycony i oczarowany, i dzięki składam Waszój Królewiczowskiój Mości za pozwolenie korzystania z jej łagodnego klimatu i orzeźwiającego powietrza, a najwięcej za sposobność przypatrzenia się z bliska sprawom królestwa roślin.

— Stało się to za przyczyną szlachetnego mistrza, który ma wielką dla was sympatyę — odrzekł królewicz spoglą-

dając z uśmiechem na siedzącego obok tronu Abrakadabrusa. Podobno masz dla nas listy wiarytelne?

Podałem kopertę zawierającą pismo Redakcyi, królewiczowi, który złamawszy pieczęć, wręczył papier Abrakadabrusowi. Mistrz czytał głośno przekładając odrazu na język atlantyjski, ja zaś podczas tego czytania rozmyślałem jakie też następne pytanie zada mi królewicz. Z tego co w gazetach i książkach o przyjęciach posłów czytałem, wynikało, że monarcha udzielający posłuchania pyta zawsze o zdrowie tego który posła przysyła. Jest to zwykła formalność — ale tutaj zapytanie takie byłoby conajmniej dziwnem. Królewicz słuchał czytania uważnie, a gdy mistrz skończył, zwrócił się do mnie, mówiąc:

— Redakcyja bardzo korzystnie wyraża się o tobie młodzieńcze i zdaje mi się że się nie myli, bo widzę że ci dobrze z oczu patrzy. Jak się mają Wieczory rodzinne, czy zdrowe?

Nie byłem przygotowany na to pytanie, ale odpowiedziałem.

— Dziękuję Waszój Królewiczowskiój Mości w ich imieniu, za troskliwość: zdrowe o tyle o ile zdrowemi być mogą. Klimat u nas jest teraz ostrzejszy, bo lasów wiele wycięto; wiatr często wieje w oczy.

— Tak — rzekł królewicz — klimat na globie naszym, ciąglem chociaż powolnym podlega zmianom. Zmieniają się nawet kształty lądów i mórz. Co kilka tysięcy lat wody przelewają się od bieguna do bieguna; odsłaniają się dna oceanów, a lądy znikają pod powierchnią wód. Kraje wspaniałą pokryte roślinnością, zmieniają się w pustynie, a na miejscu pustyni powstają wspaniałe lasy i kwitnące doliny. Niezmierna przestrzeń czasu, nie pozwala ludziom na razie spostrzeżać tych zmian dokonywających się powoli choć nieustannie, zmiany klimatyczne jednak dają im się odczuwać. Stare księgi nasze podają, że klimat waszego kraju był niegdyś tak łago-

dney, iż cierpiący szukali w nim lekarstwa na swoje dolegliwości. Od tego czasu wiele się zmieniło. Słyszę że jesteście jako owe rośliny żyjące na skałach, którym nie brak tylko powietrza, a jednak żyją i kwitną. Szlachetnego jesteście szczepu, to też witam cię z całego serca młodzieńczy pośle: rozgość się w Różanym gaju jak u siebie i używaj wszystkich przyjemności jakich może dostarczyć nasza wyspa.

Dobroć przebijająca się w tych słowach królewicza, jego chęci serdeczne dla mnie, wzruszyły mię do głębi i zabolalo mnie serce że nie posiadam nic, co bym mu mógł w dowód wdzięczności ofiarować. Wszyscy posłowie nieśli jakieś dary, jakieś osobliwości swoich krajów, ja zaś przyszedłem z gołemi rękami! Co jednakże poseł Wieczorów rodzinnych mógł ofiarować? Chyba roczniki tego Pisma, a ja ani jednego nawet numeru nie przywiozłem. Nie miałem nic, nic zupełnie!

Uczucia moje musiały się odmalować na méj twarzy, bo królewicz domyślił się czegoś i zapytał mnie o przyczynę smutku. Odpowiedziałem z całą szczerością. Uśmiechnął się i rzekł.

— Nie smuć się młodzieńcze: jeżeli to tylko jest przyczyną twój troski, zaradzimy temu jakoś. Kraina wasza



Karły afrykańskie.

słynie z pieśni, a ja pieśni bardzo lubię, bo one są kwiatami ludzkich uczuć. Zaśpiewaj mi cokolwiek, coś takiego, co rozbrzmiewa wzdłuż i wszerz kraju, i ukaże mi zdaleka obraz narodu.

Zamyśliłem się bardzo nad tem żądaniem. Co mam śpiewać? Czy pieśń weselną lub taneczną? Naród nie tańczy. Czy pieśń wojenną? Naród nie walczy orężem. Pracuje i modli się; zawiedziony wielekroć przez ludzi, szuka opie-

Cisza była w sali taka, że szelest krzewów można było słyszeć: wszyscy mieli oczy na mnie zwrócone. Zaśpiewałem:

„Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny,
Zmiłuj się nad nami!

Zaledwie skończyłem pierwszą strofę, królewiczowa milcząca dotąd ciągle, zawołała:

— Ja znam, znam tą pieśń bijącą ku niebiosom, niby



Bazylika.

ki u Boga. Zaśpiewam pieśń religijną... ale jaką? Może „Boga rodzica”? Nie, przestano ją śpiewać od czasu gdy miecze wypadły z dłoni śpiewakom. Zaśpiewam pieśń inną, bardzo, bardzo starą, bo kilkaset lat mającą, śpiewaną dotąd po kościołach w każdą niedzielę, pieśń znaną zarówno przez bogacza, jak przez nędzarza, przez starca i przez dziecko. Zdecydowałem się. Wprawdzie żeby śpiewać w obec całego dworu, śpiewać nie ucząc się nigdy, głosem słabym i niewyrobnym, trzeba było niemałej odwagi; ale nie wahałem się, wiedząc że jestto jedyna rzecz jaką mogę ofiarować.

jedno wielkie, potężne westchnienie ludzkości; znam jej melodyę starożytną, wspaniałą i przejmującą, umiem jej słowa nawet. Przynieście mi harfę!

Zanim zdołałem ochłonąć ze zdumienia, paziowie przynieśli złotą harfę przybraną kwiatami i postawili przy tronie. Królewiczowa oparła na nią z obu stron ręce, uderzyła kilka akordów i zaczęła śpiewać. Choć pieśń ta jest wszystkim u nas znaną, ale przysyłam ją dla czytelników Wieczorów tak jak ją grała królewiczowa i jak znajdujący się podówczas w sali kapelmistrz nadworny spisał na moją prośbę.

Świe - ty Bo - że

Świe - ty mo - cny

O

Grave.

Świe - ty a - nie śmier - te - l - ny, Zmi - łuj się - nad na - mi

Od po - wie - trza, gło - du, o - gnia i woj -

ny Wy - baw nas Pa - nie

Od - na - głej a nie - spo - dzie - wa - nej śmier - ci Za - cho - waj - nas Pa -

nie. My - grze - szni Cie - bie Bo - ga pro - si - my Wy - słu - chaj nas - Pa - nie.

Głos jęj piękny czysty, przepel-
niony uczuciem, wydał mi się aniel-
ską muzyką. Tyle razy slyszalem
tę pieśń w kościele, a nigdy jeszcze
nie sprawiła na mnie takiego wra-
żenia. Słuchałem jak oczarowany
i sam niewiem jak dalej głos mój
łączył się z jęj głosem. Zapomnia-
łem o Atlancie, o sali tronowej, a

Założona w IV w. przez Rzymian, w V w. Bazylea zniszczo-
ną została przez barbarzyńskie plemiona germańskie, jakie
wyparte najściem Hunnów z dotychczasowych swych siedzib,
załazy południową i zachodnią Europę, lecz po osiedleniu się
stałem tych barbarzyńców w nowych siedzibach, gdy plemiona
germańskie poczęły się cywilizować, Bazylea dźwignęła się
z upadku i z czasem liczyć się poczęła do pierwszorzędných
miast Europy. Do r. 1830 była ona stolicą kantonu szwaj-
carskiego, noszącego toż samo nazwisko, obecnie odłączyła się
od kantonu i utworzyła wolne niezależne miasto, które jest
najzamożniejszym miastem w Szwajcaryi i na górnym Renie.

Malownicze jego położenie, pamiątki z przeszłości, wspo-
mnienia historyczne, wszystko to razem sprawia iż Bazylea
godną jest poznania, znajduje się w niej stara bardzo katedra,
wzniesiona jeszcze w XI wieku.

W arsenale miejscowym pokazują szablę i zbroję Karo-
ła śmiałego, księcia Burgundyi, nieposłusznego wasala, który
wiódł ustawiczne wojny z królem Francyi.

Bazylea rozsiadła się bowiem po obu brzegach Renu,
most, długi na 280 stóp łączy te dwie części miasta. Prze-
mysł i handel bardzo są rozwinięte, z wyrobów miejscowych
najwięcej slyną jedwabne. Bazylea pamiętna jest soborem
jaki się tam odbył r. 1431.

Teresa Jadwiga.

ujrzałem mały drewniany kościółek w Dębowej Woli, siwe
włosy kłęczącego przed oltarzem kapłana, i pochylone kornie
głowy wieśniaków... Mgła jakaś zasłoniła mi oczy. Pod-
niosłem rękę żeby ją usunąć i spostrzegłem że mam twarz
lżami zalaną. Zkąd królewiczowa znała tę pieśń? Kto ją
jęj nauczył?

Wydało mi się że twarz indyjskiego posła obojętna
i nieruchoma dotąd jak twarz sfinksa, drgnęła lekko. Po-
slyszalem jak nachyliwszy się w stronę Abrakadabrusa,
szepnął:

— Pieśń bardzo piękna: ten mały poseł, musi być sy-
nem wielkiego narodu.

Jankł sierota.

BAZYLEA.

W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

Nad brzegiem Renu, w północno zachodnim cyplu Szwaj-
caryi, leży stare bardzo miasto Bazylea, założona jeszcze
przez Rzymian. Dzięki korzystnemu położeniu geograficze-
mu mógł się rozwijać handel, mieszkańcy więc są w ogóle bo-
gaci.

W tęg chwili gwar naradzających się dzikich, stał się
tak głośnym, że kapitan obracając się do swoich, powiedział
półgłosem, czując że nieprzyjaciel nie usłyszy:

— Panowie!... mamy ich tu jak na dłoni, zapartych między gęstwiną leśną i skałami, wszyscy są uzbrojeni, ale niema między nimi ani jednego niewolnika, panna Mac-Ulm i inni jeżeli są, muszą być powiązani w kryjówce za skalistą ścianą. Gdy zniweczmy ten tłum nikczemny, który mamy przed oczyma, niewolnicy będą oswobodzeni, znając bowiem obyczaj tych krwiożerczych istot, wiem że narady swe zwykli odbywać zawsze wszyscy razem, tam przy więźniach niema nikogo chwilowo, lub są tylko kobiety, a zatem... — spojrział jeszcze raz na dzikich i na swoich, podniósł broń i zakomenderował:

— Ognia!... — sześćdziesiąt strzałów huknęło. Wycie i dzikie krzyki wstrząsnęły lasem i ścianą skał. Dzicy napaźnicy niespodzianie, szaleli w bezrozumnym zamieszaniu, usiłując uciekać na wszystkie strony:

— Naprzód! — zawołał znów kapitan, rzucając się na Indyan z szablą w ręku na czele swych towarzyszy. Rozpoczęła się straszliwa, śmiertelna walka, bo dzicy odcieci od lasu i przyparci do skał wysokich, nie mogąc uciekać zaczęli się bronić rozpaczliwie, zapamiętale, nie już jak ludzie, ani też tem mniej jak bohaterzy, ale raczej jak tygrysy, gdyby tygrysy mogły być atakowane w gromadzie. Czysto zwierzęcym zwyczajem gryźli, i dusili w dodatku do okropnych ciosów zbójceckich maczug, długich i ostrych jak sztylety, a przewyższali liczbą kilkakrotnie Europejczyków... Szczeniściem, bywają ludzie, których siły zdławiają się w niebezpieczeństwie, a zimna krew właściwa dzielnym, jest także ważną potęgą. To też las jęczał walki odgłosem, a zwycięstwo nie przechylało się na żadną stronę, gdy wtem... Mac-Ulm krzyknął i opuścił pałasz bezwładnie, dziesięć noży i maczug świsnęło natychmiast nad jego głową, lecz kilka pałaszów odbiło tamte razy i kilka głosów zawołało:

— Czyś ranny?

— Co to przyjacielu?

— Ojciec co tobie? — Zamiast odpowiedzi, Mac-Ulm jak nieprzytomny palcem wskazał w górę na skały, każdy spojrzął tam, i krzyk wydarł się ze wszystkich piersi: wysoko na skałach otaczających kryjówkę dzikich, potworny, straszny Indyanin, lamparciemi rzuty przeskakując po skalistych złomach uciekał, unosząc wyrwijające mu się dziewczętko...

— Moja córka!

— Klara!... — i zapominając o walce wszyscy rzucili się za porwanem dziewczęciem, z początku słyszeli jej wołanie o ratunek, ale mimo całej i dosyć ogólnej wprawy w gimnastykę, nikt tu nie mógł równać się z Indyanami w sztuce biegania po skałach. To też wołanie nikło, cień porywcy malał, aż znikł, pomimo wszelkich wysiłków goniących. Niedobitki z walczącej gromady dzikich znikły już dawno, korzystając z zamieszania wśród atakujących, sprawionego widokiem unoszonej Klary.

W pierwszej chwili była jeszcze tak blisko, że ten i ów ścigający, podnosił broń i brał na cel jej prześladowcę, ale wnet broń opadała bezsilnie, na myśl że zamiast rozbójnika trafić może biedną Klarę.

— Stój! dla Boga chory jeszcze jesteś! czy chcesz że-bym cię znowu utracił?... — wołał pan Thorn z Wiliamem pędzącym rozpaczliwie na czele ścigających, pomimo że nie widzieli już tych, których ścigali. Ale Wiliam nie słuchał, dopiero na krzyk:

— Ratujcie!... — odwrócił głowę i ujrzał starego ojca odosobnionego od swoich chwilowo wśród pogoni i otoczonego przez trzech rannych dzikich, którzy snadź ukryci i zaczajeni wyskoczyli nagle z za skał, aby przy zdarzonej sposobności pomóc się na starcu bezkarnie. W mgnieniu oka, mimo niedawnej choroby Wiliam znalazł się przy ojcu, odbijając wprawą bo od lat najmłodszych ćwiczoną ręką, ciosy dlań przeznaczone, gdy ośmiu innych nieprzyjaciół ziejących pomstą rzuciło się na nich, ale już i sprzymierzeńcy zdołali przybieść z pomocą i zajadła walka rozpoczęła się na nowo. Niedługo trwała tym razem. Indyanie prawie wszyscy padli po uporczywej obronie, gdyż byli już ranni i dla tego też zapewne nie mogąc uciekać jak zdrowi ukryli się, a potem napadli zdradziecko na ścigających porywcę Klary.

A Klara?... Gdy minęło gwałtowne podniecenie wywołane napaścią i drugą tą bitwą i obejrzano się uważnie dokoła, młody kapitan dzielny i zacny ale niedoświadczony trochę, a może i lekkomyślny cokolwiek, zadrżał i załamał ręce wobec następstw własnego swego planu. Prawda, że kilkudziesięciu dzikich padło na placu boju a i rannych musiało być niechybnie wielu, ale też jeden majtek i jeden ze służących Thorną przypłacili sprawę tę życiem, ośmiu było ciężko rannych, a nikt prawie nie wyszedł z boju bezkarnie. Nakoniec nietylko Klara zniknęła znowu, ale i Edwarda napróżno wołano i szukano... Wszyscy widzieli go pędzącego wraz z bratem i towarzyszami za siostrą w chwili, gdy Thorn zawołał o pomoc, ale później nie ujrzano go więcej. Niektórzy utrzymywali że Edward w pościgu wyprzedzał innych, że przeto nie mógł dosłyszeć Thorną i pobiegłszy sam jeden dalej, musiał zostać pochwycony przez dzikich, zaczajonych za każdym niedłwie głazem, jak się teraz pokazywało.

— Otóż goniąc za jednym dzieckiem straciłem i drugie! — jęknął Mac-Ulm.

— Panowie!... — zawołał kapitan — co się stało mogą jest winą, dlatego też honor i sumienie nie pozwala mi poprzestać na tem co uczyniłem nie starając się nierozwagi mój naprawić, i proponuję: oddajmy ostatnią usługę poległym towarzyszom, odnieśmy ciężko rannych na pokład parowca pod opiekę doktora, a sami śpieszmy dalej śladami nieprzyjaciół, dążących oczywiście zwyczajem dzikich, do swoich siedzib, a zatem do Tungary, jeżeli tylko nie zatrzymają się gdzie po drodze. Są oni teraz słabsi liczebnie, wystraszeni nadto, wielu musi być rannych, nie mogą zbyt chyżo uciekać zatem, zwłaszcza jeżeli niewolników swych wloką wraz z sobą, a więc nie byłoby nic dziwnego gdybyśmy przed Tungarą jeszcze dogoniwszy ich, mogli odebrać pannę Mac-Ulm i jej brata. Ale może nie mam prawa podawać nowych planów po pierwszej tak fatalnej omyłce?

— Panie kapitanie, omyłka jest rzeczą ludzką — odparł Mac-Ulm — ja nie mam innego środka odzyskania moich dzieci, jak tylko dążyć obecnie ich śladem, dopóki pozostanie mi choć promyk nadziei, a ty najszlachetniejszy z ludzi, chcesz więcej uczynić dla Anglika, niż własna jego władza opiekunicza, która mi odmówiła pomocy! — Zadałwiono się copędzej z poległymi i ciężej rannymi i ruszono w pochód śladem bardzo wyraźnym z początku, bo krwią tu i owdzie znaczoną. Tegoż dnia dotarto jeszcze do miejsca, w którym uciekający dotąd pojedynczo, zgromadzili się i spoczywali widocznie; odtąd ustały ślady krwawe, wyraźnie spoczęto aby opatrzyć rany. Thorn pokręcił głową, gdy kapitan nakazał także spoczynek.

— Czyliż jest możliwym dla nas, mierzyć się z Indyaninem w pościgu? Wszak dziś rano mieliśmy tego zbyt bolesne dowody. Przygotujmy się na wejście do Tungary i pomysłmy zawczasu jak sobie tam poczniemy...

Kapitan chciał odpowiedzieć, ale powstrzymał wyrazy na ustach; najoczywiściej dotknięty w miłości własnej, nie śmiał odzywać się ze swem zdaniem, które nie miałyby teraz może dostatecznej powagi. Spojrzął tylko na Mahorę, o którego rozumnie miał wysokie pojęcie i zacerwienił się silnie, spotkawszy filuterne spojrzeenie bystrego Indyanina. Mahora odczuwając widocznie przykre położenie człowieka, który raz się omyliwszy, nie śmie następnie z najsłuszniejszym wystąpić zdaniem, rzekł do Thorną:

— Panie mój, masz słusność że w chwilowym wyścigu, wy Europejczycy nie możecie iść w zawody z dzikimi Indyanami, bo wychowanie, tu Mahora podniósł dumnie głowę — odzwyczajają was z czasem od wielu rzeczy; ale inaczej dzieje się, gdy rzecz idzie o dłuższy i systematyczny pościg, szczególnie gdy krajowcy nie czują się zagrożonymi gwałtownie, gdy lufy lub noża nie czują tuż za plecami. W takich razach czysto zwierzęcy instynkt samozachowawczy, znika u nich natychmiast, a wrodzone lenistwo i niedbalstwo bierze górę. Nie mają też oni nigdy zwyczaju rozstawiać czat, gdy się bezpośrednio nie czują zagrożonymi, a wszelkie chwilowe nadzwyczajne wysiłki, zwykli w trójnasób sobie wetować przy pierwszej sposobności, śpiąc i uczując obficie! Myślę zatem, że

idąc ich śladem ostrożnie, nasłuchując bezustannie i trzymając się z daleka nawet gdybyśmy ich doścignąć już mogli, zdołamy dogonić i upatrzeć chwilę stosowną do nowego ataku, przed dojściem do Tungary jeszcze.

— Ależ mogą łatwo domyślić się że ich ścigamy!...

— Nieościecznie; właśnie dla tego że napadnięci z tyłu zaprzestaliśmy na razie ścigania. Prawie pewny też jestem, że widziałem przemykające się później jeszcze wśród skał dwa cienie, w chwili gdyśmy ostatnią posługę oddawali poległym; cienie te pogoniły za swoimi i doniosły im niemylnie, że zajęci jesteśmy naszymi obrzadkami, ani myśląc o dalszej pogoni. To ich uspokoi z pewnością, tembardziej iż nie będziemy gonić ich natarczywie; gdy się ubezpieczą, wpadniemy nagle.

— Masz słuszność... znasz przecież krajowców lepij niż my, a zresztą nie lepszego nie pozostaje nam do czynienia.

Na tem skończyła się krótka ta narada wojenna. Kilku zdrowych ludzi rozstawiono na straży, starsi i ranni spoczywali przez trzy godziny, gdyż dla nich to w rzeczywistości kapitan żądał tego przystanku, lękając się rozognienia ran i usiłując zachować i zebrać siły dostateczne, aby w potrzebie pośpieszyć. Nie rozpalono ognisk, aby się nie zdradzać, zachodziła więc obawa dzikich zwierząt, ale wszyscy obznajmieni z okolicą, zaręczyli że w miejscach podobnych, jedynie tylko tygrysy włóczyć się zwykły, tych zaś chwilowo snadź tam nie było, jeżeli dzicy Indianie, dopiero co ośmielili się tamtędy przechodzić; albowiem tygrys napełnia ich tak zabobonnym strachem, że nigdy nie odważają się narażać z nim na spotkanie. Istotnie noc przeszła spokojnie, posilono się skoncentrowanymi pożywnymi zapasami wziętymi z parowca, drzewa leśne dostarczyły przepysznych owoców i puszczono się w dalszą drogę, ze świeżymi siłami. Idąc, rozpatrywano się ciągle po otaczających gęstwinach, grotach i bagniskach, wywołując półgłosem imię Edwarda, w przypuszczeniu że może leży gdzie raniony. Wołano i szukano naprzód. Bardzo często, nieledwie co kilkanaście kroków, jeden z trzech Indian paadał na ziemię, elastyczny i zwinny jak wąż, przykładając ucho do ziemi, podskakiwał po chwili z gestem uspokojenia i szli dalej. Niekiedy pomiędzy lasami trzeba było i pustynie skaliste przebywać. W każdym razie postępowano coraz dalej na pewno, bo świeży zupełnie ślad stóp indyjskiej gromady, czytelny jak otwarta książka dla ich trzech współbraci, nie dopuszczał wahania. Mahora, a jeszcze bardziej Wilko byli tak wprawni w tych badaniach i mieli słuch tak wrażliwy, że stanowczo wkrótce oznaczyć mogli odległość, w jakiej podążano za dzikimi, i od tej chwili już wystrzegano się pośpiechu, aby ich nieprzyjaciel nie ujrzał lub nie posłyszał, zastosowując starannie chód swój do jego chodu. Bywały przytem chwile dziwnie smutnej pociechy dla nieszczęśliwego ojca i jego przyjaciół, gdy Wilko lub Mahora idący zawsze z oczyma śledzącymi ziemię, wskazywali na niej ślad stopy odmiennj zupełnie od innych otaczających, szepejąc:

— Panna Klara!... bucik ma podarty!...

A więc Klara żyła przynajmniej i znajdowała się wśród uprowadzającej ją bandy rozbójniczej. Jednocześnie z tą smutną pociechą, ciężki ból ścisnął serca, bo żaden z przewodników ani razu dotąd nie znalazł i nie wskazał towarzyszącemu śladu małej, zgrabnej nogi w męzki gruby, podkuty bót obutej, śladu Edwarda... Czyliżby pomyłono się w domysłach i przypuszczeniach, albo, czyliż trzeba było oczekiwać z tej strony ostatecznego nieszczęścia?... A może biedny chłopak nieodszukany, pozostał gdzie wśród skał i bagien poza swoimi ranni, bezsilny, dogorywający... Rozpacz szarpała serca

na tę myśl, którą każdy tłumił, aby nie przyczyniać zmartwienia drugim, bo niepodobna było porzucać Klary, aby wracać na poszukiwanie Edwarda. Postępowali przeto machinalnie naprzód w raz obranym kierunku, za przykładem trzech wiernych Indian, którzy sami tylko zdawali się nie wahać.

(d. c. n.)

SZARADA.

dla Małej Laszki od Prawdy.

*Pierwsze, drugie, trzecie,
Czwarte, trzecie, z serca dane
Z wdzięcznością są przyjmowane
Drugie zaimkiem, czasownikiem czwarte
Wszystko, szkodniki nie wiele warte.*

ŁAMIGŁÓWKA ZGŁOSKOWA.

ulożyła Gama C-dur.

Z następujących zgłosek: ar — a — el — ja — ka — kol — war — kaj — jo — me — na — no — o — ber — ra — ran — feld — jan — wa — te — mar — woc — ułożyć wyrazy: 1. Powieściopisarz węgierski. 2. Rzeka we Włoszech. 3. Prowicya w Hiszpanii. 4. Miejscowość lecznicza w Tyrolu. 5. Port w Syberii. 6. Schowanie na papieru. 7. Miasto w prowincyi nadreńskiej. 8. Wyspa azjatycka. 9. Miasto w Alzacyi. 10. Produkt drzew.

Pierwsze litery czytane od góry do dołu utworzą imię i nazwisko sławnego malarza, a końcowe w tym samym kierunku tytuł jego obrazu.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 41-go.

Zagadki:

Z e g a r.

Łamigłównki sylabowej:

1. Kalkuta. 2. Oklend. 3. Norwegia. 4. Rzym. 5. Anam. 6. Dobrzyński. 7. Wierzchowiec. 8. Arak. 9. Leszczyński. 10. E. 11. Narew. 12. Rinaldini. 13. Odyniec. 14. Derkacz.

Konrad Walenrod — Adam Mickiewicz.

METODYCZNY KURS NAUK

obejmujący: naukę religii, naukę o rzeczach, język polski i francuzki, arytmetykę, nauki przyrodnicze, geografję, historyję, kaligrafję i rysunki — wychodzić zaczął w „Przeglądzie Pedagogicznym” od 1-go paźdz. r. b. W „kursie” tym podany jest plan całej nauki, najlepsze podręczniki do każdego z przedmiotów i wskazówki, czego i jak z podręczników tych uczyć należy. „Przegląd Pedag.” zamieszcza artykuły o higienie, wychowaniu i metodach nauczania, postępach pedagogiki zagranicą, grach i zajęciach dla dzieci itd. Udziela porady we wszelkich kwestyach wychowawczych. Pośredniczy między rodzicami i nauczycielami przez bezpłatne zamieszczanie żądań. Prenumerata „Przeglądu”: kwartalnie rs. 1. kop. 50. z przesyłką rs. 1. kop. 75. — Adres Redakcyi: Warszawa, Widok Nr. 14.

TREŚĆ: Doświadczenie chemiczne (z drzew.) — Sprawozdanie z konkursu robót, — Karły afrykańskie (z drzew.) — Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Bazylea p. Teresę Jadwigę (z drzew.) — W Indyach — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek:** Pies i Małpa, wiersz p. Helenę Bojarską (z drzew.) — Bajeczki, p. Maryę Brühlową. — Łakome szczury. — Odpowiedź na pytanie w N-rze 39. — Łamigłównki i rozwiązania. **Dodatek książkowy:** Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorkę „Reginki”).



PIES I MAŁPA.

W pewnym domu małpa żyła,
Co jój dano jadła, piła,
Ale wiecznie na łańcuchu,
Miała biedna mało ruchu.

Brak powietrza, brak swobody,
Dał się uczuć małpce młoděj,
Spowaźniała, posmutniała,
O figielkach nie myślała.

Raz gdy sobie jadła rano,
Co łaskawie jój podano,
Pies się wsunął niespodzianie
I biedaczce zjadł śniadanie.

Ona wnet ku niemu skoczy
Błyszczały jój gniewem oczy,
Chwyta miotłę, co też leży,
W łakomczucha zaraz mierzy:

— Ha! czyż nie wstyd ci niecnoto,
Mnie zamkniętą krzywdzić oto!
Tyś swobodnym jest na świecie
Wszędzie żywność znajdziesz przecie,

A ja mam to tylko w budzie,
Co mi z łaski dadzą ludzie.

Wstydź się! — A pies dalej w nogi,
Pełen wstydu, czy też trwogi,
Zrobił źle, lecz żał mu szczerze,
Że pokrzywdził inne zwierzę.

Helena Bojarska.

BAJECZKI.

Wieczorem w jesieni, kiedy wiatr ostrym świstem dmie na dworze, kiedy deszcz leje bezprzestannie, a ciemność, roztaczająca swe cienie na zachmurzonym niebie, jednę gwiazdeczkę nawet nie ukaże, jakże to miło zasiąść przed kominkiem jasnym płonącym ogniskiem, w kółku rodzinnem, i z robótką w ręku słuchać opowiadań wymownymi ustami głoszonych. U państwa Mirskich było kilkoro dzieci. Najstarsza Wanda, szesnastoletnia panienka, ukształcona, i posiadająca dar opowiadania, prawdziwą była ozdobą tych zebrań rodzinnych. Bawił też u nich brat pana Mirskiego, ukochany stryjasek, który się chętnie z dziećmi zabawiał. Wańdzia zajęła się szydełkową robótką, Julisia i Ańdzia szyły bieliznę dla lalek, Edzio i Zdziś ustawiali zabawki na stolyczku.

Chwilę trwało milczenie bo rodzice, i stryjasek czytali dzienniki, a skończywszy, odłożyli je na bok mówiąc, że niema w nich nic ciekawego, Ańdzia zawołała:

— Wandeczko, już teraz mówić można, opowiedz nam jaką bajeczkę.

— Dobrze — odrzekła Wańdzia — jeżeli rodzice pozwolą.

— A mnie nie pytasz o pozwolenie, czy słuchać zechcę? — śmiejąc się rzekł stryjasek.

— A jakże, a jakże, stryjasek taki dobry, że potem nam sam co opowie.

— Owszem, nie wiem tylko czy tobia w tem wyrównam.

— A więc proszę posłuchać — zaczęła Wańdzia. — Była jedna młoda dziewczyna, piękna jak anioł, pracowała jak pszczołka. Nazywała się Basia. Celowała nade wszystko w robieniu kwiatów. Otaczały ją zawsze kwiaty naturalne, z których wzór brała, naśladowując tak delikatnie, tak starannie, że zrobione przez nią róże zupełnie wyglądały jak prawdziwe. Czasami mieszała je z temi, które kwitnęły w doniczkach na oknie, i trudno było jedno od drugich rozróżnić.

Nawet pszczołki i złotawe muszki, przybywały brzęczeć naokoło, i siadać na ich kielichach.

Pewnego dnia Basia zrobiła śliczną gałązkę różaną, z dużym na wpeł roztwartym pączkiem, w około listki młodziutkie zwinięte, dalej zieleńsze i szersze. Nic nie brakowało, ani mszystego pyłku, ani szypulek cienkich jak niteczki. A gdy skończyła swe maleńkie arcydzieło, ażeby go nie zmiąć, zatknęła gałązkę różaną w ziemię doniczki, która stała na oknie. Sąsiad jój ogrodnik przechodził w tój chwili.

— Co to za śliczna gałązka wyrosła — powiedział. — Ależ ziemia zbyt sucha. Aż serce boli patrzeć na ro-

ślinkę tak łaknącą wody. — Wziął polewaczkę, i podlał kwiatek w około.

Mała gałązka pokrzepiona wodą była tak doskonałą, że wypuściła korzenie. W kilka dni, pączek rozkwitł zupełnie, roztworzył listki, i wielka wspaniała róża napelniła zapachem powietrze.

— Och! och! siostrzyczko — zawołano zewsząd. I wesoły, dziecinny śmiech rozległ się po pokoju.

— Jakto, nikt temu nie chce wierzyć?

— Nie, nie. — I śmiechy odezwały się na nowo.

— Tylko ja wierzę — rzekł z powagą stryjasek — sami się o tem przekonacie.

— Chętnie, słuchamy — prosiły dzieci.

— A więc zaczynam. Był pewnego razu stary malarz, posiadający wielki talent do tworzenia owoców, kwiatów i owadów. Postacie ich, kolory, miękkość, odcienia błyszczące, do złudzenia naśladowały naturę. Czasami, wymalował na talerzu porcelanowym brzoskwinie i jabłka, które ofiarował swym przyjaciółom. Oni wyciągali po nie rękę, i złudzeni nic skosztować nie mogli. Albo też malował na murze od domu, duże, błyszczące, czerwone wiśnie, winogrona złotawe i przezroczyście; a ptaszki z ogrodu zlatywały się, aby je dziobać, i pożywić się niemi.

Pewnego dnia, artysta wymalował pięknego motyla ze skrzydłami rozłożystymi, srebrzysto i czerwono nakrapianymi, na tle białego papieru ślicznie odbijającego. Leciuchne ciało jego z delikatnym pyłkiem, wątle cieniutkie nóżki, pyszcek jak trąbka z nici uwinęta, podziw wzbudzały, zdawało się, iż drżą skrzydełka, i maleńkie różki na głowie.

Gdy ukończył swą pracę, położył papier na oknie, aby kolory uschły na słońcu.

Jakiś uczony naturalista przechodził w tej chwili.

— Ach! jakież śliczny motyl — zawołał — i z jak osobliwszego gatunku. Gdybym mógł go złapać, i wzbogacić moją kolekcję.

I biorąc lekką siatkę jedwabną, zbliża się ostróżnie.

Nagle zarzuca ją szybkim poruszeniem... Fiut...

Piękny motyl ucieka, kręci się chwilę w promieniu słońca i znika....

Tu przerwały ze śmiechem dzieci:

— Ech! stryjasku. Och! nie, nie, nie wierzymy.

— Dla czego? — odpowie wstając stryjasek — nie dajecie mi skończyć opowiadania. Śliczny motyl uciekł, ale co się z nim stało? On właśnie poleciał usiąść na rózę Basi!

Wesołe śmiechy na nowo powstały.

Poproszono na herbatę, i całe rozbawione towarzystwo powstało zadowolone z opowiedzianych sobie bajeczek, dziękując serdecznie za mile przepędzoną chwilę, Wańdzi i stryjaskowi.

Marya Brühlowa.

NAUCZ SIĘ CZEKAĆ.

Koza umiała czekać, ale koziołek tego nie umiał.

Pewnego razu koza z koziołkiem weszła do ogrodu, w którym było wiele niedojrzałych porzeczek. Koza powiedziała:

— Zaczekaj koziołku dopóki porzeczek nie dojrzeją, wtedy nasycisz się dowoli.

Ale koziołek nie posłuchał rady matki, spożył tyle kwaśnych porzeczek, że aż zachorował. Chory zawlókł się do domu, matka, ugotowała mu lekarstwo i położyła na sianie.

Innym znowu razem podczas letniego upału, koziołek ze swą matką udał się na pole. Tak było gorąco, że ciężko było oddychać. W pobliżu pola wytryskało źródło czystej, świeżej wody. Koziołek chciał się zaraz napić wody.

— Mój kochany — rzekła mateczka — jesteś jeszcze zbyt rozgrzany, poczekaj chwilę, wszak widzisz, że ja jeszcze nie piję. Uparty koziołek nie zważał na przestrogi matki, napił się i znowu zachorował.

Musiano wracać do domu, w drodze koziołek tak zasnął, iż upadł na polu jak nieżywy. Zmartwiona matka pobiegła do domu i sprowadziła lekarza.

Koziołek wyzdrowiał, lecz musiał długo leżeć w stajence, zażywać bardzo gorzkie lekarstwo i nic nie jeść, cierpiał on bardzo wiele.

Stara koza myślała, że teraz koziołek nauczy się już czekać; lecz kiedy nadeszła zima, a wodę lód pokrył, koziołek chciał się ślizgać, chociaż lód był jeszcze bardzo cienki. Znowu stara koza go przestrzegwała:

— Zaczekaj dni parę dopóki grubszy lód nie pokryje sadzawki, wtedy razem pójdziemy na ślizgawkę.

Koziołek i teraz nie chciał posłuchać matki, wszedł na lód, ale zaledwie postąpił parę kroków, lód się pod nim załamał i koziołek utonął!

Nieszczęśliwa stara koza wołała o ratunek, ale na próżno! nikogo nie było w pobliżu. Wreszcie kiedy przybył rybak, wyciągnął koziołka z wody, ten już nie żył! Stroskana matka wyrzekła: Ach, koziołku! koziołku! nie zginąłbyś tak marnie, gdybyś choć trochę czekać się nauczył!

Henryk Wernic.

ŁAKOME SZCZURY.

— Wiesz co Florciu — rzekł dziesięcioletni Karolek do młodszej siostrzyczki — myślę że chyba niema nic lepszego na świecie, jak ciastka, czy prawda?

— O, nie — odpowiedziała Florcia — ja wolę mamusię jak ciastka.

— No, przecież mamusia to co innego — rzekł Karolek — ja mówię o rzeczach do jedzenia. Ach, gdybym miał dużo pieniędzy, kupiłbym sobie tyle ciastek, żebym jadł od rana do wieczora!

— I jabym sobie kupiła ciast za sto rubli, gdybym je miała — odrzekła Florcia wzdychając — poszłabym z Franciszką do cukierni, wzięłabym swój koszyczek, wiesz, ten, co dostałam od cioci na imieniny i kupiłabym za całe sto rubli ciastek. Dopierobyśmy to jedli, prawda?

— O, prawda — odrzekł Karolek, a mówiąc to wyglądał na łakomca, który nie myśli aby jeść dla zaspokojenia głodu, tylko dla dogodzenia swemu podniebieniu,

co brzydką jest wadą zarówno dla dziewczynki, jak dla chłopca.

Mama siedziała przy stoliku i szyła dla Florci sukienkę, nie wtrącała się jednak do rozmowy dzieci, tylko westchnęła smutnie, od czasu do czasu.

— Proszę pani — rzekła kucharka, wchodząc do pokoju — jak wracałam z miasta, spotkała mnie p. Marlicka i powiedziała, że przyjdzie dziś do nas ze swoją siostrą, która przyjechała ze wsi.

— Bardzo się z tego cieszę — mówiła mama, składając robotę — moja Franciszko, ponieważ te panie zostaną u nas pewnie na cały wieczór, to do herbaty przyniesiesz ciastek.

— Ach! ciastka będą! ciastka będą! — wykrzyknęły dzieci radośnie, i zaczęły skakać po pokoju.

— Myślałby kto, że jak żyje ciastek nie widziałyście — rzekła Franciszka wzruszając ramionami — dopiero mi to uciecha. Boże zmiłuj się.

— A Franciszka niech się do nas nie wtrąca — rzekł Karolek.

— Franciszce nic do nas — dodała Florcia.

— Żebyś was nie była piastowała na ręku, żebyście nie były dziećmi takiej dobrej matki, u której już służę piętnaście lat, tobym o was nie dbała, i byłoby mi wszystko jedno, czyście złe czy dobre — mówiła Franciszka — i byłoby mi nic do was, ale tak to muszę się wtrącać, i będę.

— Ja się mogę bez Franciszki obejść — rzekł Karolek, odwracając się od stariej służącej.

— I ja tak samo — dodała Florcia, która we wszystkim naśladowała braciszka.

— No, no, nie wiem kto kogo pierw będzie potrzebował — rzekła Franciszka uśmiechając się pobłażliwie — oj, pstro w główkach, pstro.

Mama dała pieniądze Franciszce na różne rzeczy, które miała przynieść do herbaty, a na ciastka dwa złote.

— Niech Franciszka przyniesie samych kremowych — rzekł Karolek — ja tylko kremowe lubię.

— A ja najlepiej lubię migdałowe, niech Franciszka samych migdałowych przyniesie — dodała Florcia.

— A czy to ja dla Karolka i dla Florci idę po ciastka — rzekła Franciszka — a zresztą, ja mam o was nie myśleć i nie wtrącać się, to i waszych poleceń nie mam potrzeby słuchać.

Dzieci spojrzały znacząco po sobie, na wspomnienie kupienia ciastek, ale mama tego nie uważała, i dobrze się stało, bo byłoby serce zabolalo tę dobrą mamusię, którą wszyscy kochali, prócz jej własnych dzieci.

— Cóż znowu! — zawołają pewnie niektórzy czytelnicy — a czy to można mamy nie kochać?

Ja na to odpowiem, że takie dzieci które martwią rodziców, i nie starają się ze swych wad poprawić, nie mają chyba w sercu ani odrobiny miłości.

Goście nareszcie przyszli, i rodzice siedzieli w sali, a Franciszka, przyrządzała do herbaty w stołowym pokoju. Wiedziała o wszystkim czego było potrzeba, bo przecież tyle lat była w jednym miejscu, wiedziała więc dobrze jak dogodzić pani.

Stały na stole i ciastka, (było ich sześć tylko ale

wszystkie wyborne) na samym wierzchu leżało śliczne kremowe, a obok zaraz migdałowe.

Karolek z Florcią chodzili naokoło stołu, a języczki ich w bezustannym były ruchu.

— Franciszko — rzekł Karolek — ja pójde poproszę gości na herbatę.

— Jeszcze nie można — odpowiedziała Franciszka — zapomniałam, że niema cytryny w domu, muszę iść kupić. A niech dzieci uważają, żeby co nie stłuc, a od samowara z daleka chodzić.

I poszła, a Karolek stanął przy stole, Florcia weszła na krzeselko, i zaczęli się przyglądać ciastkom.

— Wiesz co — rzekł nareszcie Karolek — pewnie by mama nie zauważyła, gdybyśmy zjedli po jednym ciastku, jak myślisz?

— Mamusia by myślała że to goście zjedli — odpowiedziała Florcia — cóż tam po jednym ciastku!

— To weźmy sobie — rzekł Karolek wyciągając rękę, i podał Florci migdałowe, a sobie wziął ulubione kremowe.

Bardzo im smakowały.

Zjedli i jeszcze się oblizywali, spoglądając na kuszyczek, na którym jakieś różowe ciastko, i drugie z konfiturą, ślicznie wyglądały.

— To musi być dobre — rzekł Karolek — prawda?

— Sprobujmy — odrzekła Florcia — weźmy jeszcze to jedno, mama nie pozna.

(d. n.)

Odpowiedź na pytanie w N-rze 39.

Skoczyła, porwała żabę, wsadziła ją w pudełko przewrócone, postawiła na komodzie tak, jak stało i cała czerwona od przymusu, jaki zadała sobie, by żabę wziąć w ręce, oczekiwała ojca. Spostrzegł natychmiast, że coś niezwykłego jej się przytrafiło i spytał ją o to. Wyznała prawdę. Uściskał ją i rzekł:

— Zawiniłaś, lecz wina zmazana, masz nawet zastrugę, boś dokonała najtrudniejszej rzeczy: pokonałaś siebie. Brawo! tyś naszą bohaterką na dzień dzisiejszy.

K. J.

S Z A R A D A.

Dla Heli, Henia i Hanki w Wolicy od cioci Adelci.

Me *pierwsze* wykrzyknik w gramatyce się zowie,
Moje *drugie* napotkasz w muzycznej mowie.
A *wszystko* zdrobniła nazwa dzieweczki
Wesołej, pilnej, miłej blondyneczki.

S Z A R A D A 2-ga.

Strzeż się! *pierwsze* nie jest chłodne,
Gotuje się, bucha parą,
A *drugiego* gdy jest modne
Nikt nie zechce zwać landarą;
Wszystko ozdoba kobiety,
Bywa fałszywą niestety.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 41-go.

Nowego rebusa:

Nie gość długo w jednym domu,
Nie uprzykrzysz się nikomu.

Zagadki:

Ukrainka.

Skrzynka do listów.

Jesieni droga, oba twoje listy nie doszły rąk naszych, obecnie odpowiadamy na ten, który nosi datę 25-go września i żałujemy bardzo, że korespondencją twoją z nami spotykają tak smutne wypadki, jakim jest zaginięcie listu.

Lilka z nad Osławy prosi, aby jej nie kazać „długo czekać” na wydrukowanie liściku. Kwiatku najmilszy, a *kolój?* Chciałażbyś mieć przyjemność kosztem innych, którzy dawniej może od ciebie czekają na wydrukowanie swojej korespondencji? Nie przypuszczamy nawet tak egoistycznej zachcianki w panienczce, która sobie tak szlachetny kwiat obrała za pseudonym.

Niezapominajka z Zacisza M. Lig. (musimy dodać litery początkowe imienia i nazwiska, bo mamy dwa pseudonymy zupełnie do siebie podobne) nie podaje nam swego adresu; nie wiemy więc gdzie posłać żądany numer. Strata kochanej korespondentki, Makolągwy, i dla nas była bardzo bolesną, współczucie dowodzące poczciwego serduszka, czyni nam cię miłą, nie mniej od najdawniejszych czytelników. Przed wyjazdem Gołąbki za granicę posyłałmy jej przez kilka tygodni liściki na wieś; mógł więc który zaginać; po powrocie Gołąbka znowu akuracie odpisywać zacznie.

Bardzo wdzięczni jesteście **Prawdzie**, za jej serdeczne przywiązanie do Pisemka, które w samej rzeczy nic innego niema na celu jak wspólnie z rodzicami działając, wszczepiać w wasze serduszka zarody najszlachetniejszych uczuć! Adres zmieniliśmy podług żądania; łamigłówni były ułożone wadliwie.

Aż się weselę zrobiło w Redakcyi, kiedy do niej zawitał **Kotek Mruczek**. Pewno figlarny być musi i swawolny? bo to taka już kotków natura... Bardzo bylibyśmy ciekawi widzieć ową książeczkę, w której starszy brat cioteczny wyrysował przygody Kotka Mruczka i jego klaczki. Byle się tylko te przygody zawsze kończyły szczęśliwie!

Nie, **Rajskie Jabłuszko z pod Skwiry**. (Mamy dwa) nie przypuszczamy, abyś „pragnęła pochwały”; masz ją już we własnym sumieniu. Za to zaufanie, które skłania was dzieci drogie do dzielenia się z nami „każdą myślą” serdecznie wam dziękujemy. Stanowi ono najmilszą naszą nagrodę i największą chlubę.

Prenumeratę od **Tosi Pre.** odebraliśmy; za wyrazy uznania dziękujemy.

Pojmujemy, **Złota Przedzo**, jak smutno ci być musi porzucać okolice, z którą się zżyłaś ale... czego nie można zmienić, to znieść potrzeba, i co największa znieść mężnie i z pogodnym czołem. Zobaczysz, że przy takim usposobieniu łatwiej się oswoisz z nowym miejscem pobytu, prędzej do nowych ludzi przywykniesz. Adres zmieniliśmy podług żądania.

Od **Gołąbki heliotropu** odebraliśmy prenumeratę wraz z wodem pamięci o biednych dzieciach. Bóg zapłać, powiadamy w ich imieniu. Nieprawdaz, dziewczeczko droga, że zabawa lepij idzie, gdy jej cel szlachetny wytkniemy?

Jaskółka z nad Ussy i **Muszka** przysłały łamigłównę, która nie może być drukowaną.

Prawda, Kwiecie Lotosu, że od dawna już wieści o tobie nie

było. Jeżeli przyjdzie do skutku zamiar przeprowadzenia się do Warszawy, sądzimy, że częściej będziesz się do nas odzywała? „Książniczka” jest w istocie śliczną i nanczącą powieścią, którą z prawdziwym pożytkiem przeczytać możesz powtórnie teraz, gdy, trochę podrosłszy, inaczej zapatrujesz się na życie i jego obowiązki. Z książek o które pytasz, polecamy: Reusnera Metodę języka niemieckiego rs. 2, dwa kursa. Fizyką Kramsztyka rs. 1 dwa kursa.

Ciekawe to musi być widowisko: skacząca... **Sosenka!** A skoro skakała z radości, i to z radości przez nas sprawionej. tém więcej żałujemy, że nas tam nie było. Dziękujemy przynajmniej, że nam o tém doniosła ta uradowana „wzdychająca za długą sukienką”. Nanosisz się jej jeszcze, dziewczeczko, i zobojętnieje ci ona bardzo niedługo, a wspomnienia lat dziecinnych zawsze ci miłymi pozostaną.

Drogie moje: **Biała Perelko** i **Niezapominajko** z nad Warty! Dziękuję wam serdecznie za wasze miłe liściki. Mam nadzieję **Biała Perelko**, że się wkrótce zobaczymy; a tobie **Niezapominajko** donoszę, że jesteście w równym wieku, mieszkam na wsi na Ukrainie, jestem blondynką a na imię mi **Zosia**, mam jedną siostrzyczkę i dwóch braciszków. Niedługo już pisywać do was będę, gdyż za parę miesięcy opuściwszy śliczną moją rzeczulkę przeniosę się do **Peltwy**. Smutno będzie biednej rybce i ciężko zamienić swobodę bujania między skalistymi brzegami pod błękitnym niebem, na zamurwane koryto niezbyt aromatycznej rzeki! Za to dobiegłszy do celu, przy pomocy **Boga**, wrócę do was mądrzejszą i lepszą, a kochać wszędzie będę. Wasza *Rybka z Inilopiaty*.

Kochane: **Różyczko** **Jerychońska** i **Ciecioreczko!** Mieszkam na wsi z mamą i siostrami, mam brata starszego w Petersburgu, młodszego w Słucku. Trzy lata już jak straciliśmy ukochanego ojca. W moim gospodarstwie mam kurę, cztery owce, białą kozę, i dwoje zwinnych koźląt, których z wielkim moim żalem, będę się musiała pozbyć, bo są ogromne szkodniki. Mam szkółkę drzewek owocowych, a teraz uczę się szczepienia i oczkowania, żeby móz samą pracować. Uczy mnie babcia i mamusia; od wakacyi będę miała nauczycielkę. Powiedźcie mi coś o sobie, może się kiedy zobaczymy. Ścisła was mocno kochane panienki *Czarnotka*.

Drogie moje **Jaskółki** z nad Sekwany i Dunaju, **Staszko** z Podola, **Różyczko** biała, **Brzydotko** z nad Tamizy, **Poranku** majowy, **Światelko**, **Śnieżycu** i **Krasnolico!** Chociaż od 6-ciu lat czytam „Wieczory” nasze, wiem, że nieznaną wam jestem. Muszę się wam najpierw przedstawić, drogie moje. Wystawcie sobie wysoką 13-to letnią blondynkę, lubiącą bardzo kwiaty, muzykę i korespondowanie z wami, ukochane ptaszki, kwiatki, poranki i światelka nasze! Pisałam już do kilku ale... nie odpisywały: myślę, a raczej liczę napewno, że nie zawiedziecie mnie i odpisiecie niedługo waszjej, kochającej *Jodelce z nad Noteci*. Wszystkim innym uściśnienia.

Drogie siostrzyczki moje! **Ukrainko** z kącika, **Kulko** śniegowa i **Szczeroci!** I ja też jestem **Ukrainką**, dlatego chciałabym z tobą korespondować **Ukraineczko** z kącika, opisz mi twą osobkę i donieś ile masz lat, a ja ci z chęcią szczegółów o sobie udzię. **Kuleczko** miluchna jak się bawiłaś przez wakacje? bo ja doskonale. Czyś stopniała od letniego słońca, że tak milczysz? **Podoba** ci się „**Druga matka**” **Szczeroci** ty moja? **Mnie** ona zachwyca; szczególnie charakter **Poli**. Czy masz rodzeństwo? ja mam młodszego braciszka. Czyście nie zapomnieli o mnie przez tak długi czas? Jako kwiatek mam bardzo małe serduszko, lecz umie ono kochać i znajdzie dla każdej z was kilka słów przyjaźni. *Biała Ostróżka*.

Kochane: **Jutrzenko**, **Poranku** majowy i **Kropelko** srebrzysta! Przepraszam was żem tak długo nie odpowiadała, a szczególnie ciebie **Jutrzenko**. Donoszę ci że **Szwajcarya** jest przesliczną. **Zwiedzałam** cudowny wodospad **Reński** w **Szafhuzie**. Uczę się w domu mam lat 12; jestem obecnie na wsi. **Miły Poranku** pisujemy do siebie jak najczęściej. **Kropelko** jesteś **Helenką B.** czy zgadłam? **Donieście** mi coś wszystkie o sobie. **Oczekując** odpowiedzi ścisłam was serdecznie. *Gołąbka Heliotropu*. **Złotój Wierzbie**, **Regince** i **Staszce** z Podola przesyłam milion całusów.